

Jacek Melchior

NIELUDZKO PIĘKNA JESIEŃ

1. WYZWOLICIEL

Bolało, ale nie tak jak sobie wyobrażał, ponieważ sobie nie wyobrażał.

Trochę swędzi, przeczytał w internecie. Nie, nie swędziało. Jakbyś się poparzył. Nigdy się nie poparzył. Jakby cię obdzierano ze skóry... Coś było na rzeczy, w pewnym sensie właśnie poddawał się obdzieraniu, a jednak nie, nie, obdzieranie ze skóry kojarzyło mu się z rozbieraniem martwego zwierzęcia na mięso, z wielkim obdzieraniem z wielkiej skóry, jak gdyby nigdy nie obdzierano zajęcy czy królików, tylko od razu słonie; w dzieciństwie był pewien, że słonina to mięso słonia, choć wcale nie myślał, że najpierw trzeba obedrzeć go ze skóry. Nie wiedział więc także, jak boli takie obdzieranie, zwłaszcza że przecież dotyczyło żywych. Jego, żywego, niedużego.

Boli, jakbyście się cięli! Wykrzyknik w komentarzu był żyłką, ale przecież nie ciął się, też coś, to inni się cięli, gdzieś daleko, daleko, przez długi czas tylko w więzieniach, pani Pomianowska, sąsiadka z czwartego, przyszła kiedyś do matki i płacząc, wyszeptwała, że pociął się syn, w więzieniu, całą rękę. Usłyszał ją przez drzwi dziecięcego pokoju, uchylone dla bezpieczeństwa, choć to właśnie było niebezpieczne, bo gdy usłyszał, wyobraził sobie rękę zamazaną ciętą w plasterki przez sprzedawczynię w spożywczaku i matkę przed ladą: dwadzieścia deka krakowskiej parzonej poproszę. Dopiero później, znacznie później, cięcie się odnalazł w gazetach, w telewizji i oczywiście w sieci. Ludzie cięli się, tak jak się pije albo łyka tabletki, nieuwięzieni w więzieniu jak syn pani Pomianowskiej, a w sobie. Aktorka słynna nawet się cięła, gwiazda, bogata, śliczna Jolie, śliczna. Śliczna. Dziwne, jakoś dziwniejsze od cięcia się przez brzydką i biedną.

– Boli?

– Nie. Trochę. Ale nie wiem, do czego to porównać.

– Każdego boli inaczej – orzekła zza blatu.

Aforystka, pomyślał z pogardą i od razu się wycofał. Ona to wiedziała, nie wymądrzała się jak matka, kolekcjonerka Biblioteczki Aforystów, malutkich tomików pełnych wielkich mądrości na każdą okazję, a przede wszystkim bez. *Cała historia ludzkości to cierpliwe czekanie na triumf człowieka poniżonego*. Rabindranath Tagore, chyba Hindus.

Zapamiętał, bo pamięć do lekarstw ma przecież zawodową, ćwierć wieku pracuje w fabryce leków, a ten mądrała nazywał się jak lek. Rabindranath Tagore. Rocuronium Kabi. Na co to było? Chyba na zwiotczenie mięśni, tak, bo śmiał się, że jemu nie ma co wiotczyć.

Zatem dziewczyna zza blatu nie paplała jak matka, w końcu pracowała przy bólu. Który swędział, parzył, obdzierał ze skóry, ciął, a także gryzł (jakby cię ktoś gryzł, przeczytał, lecz nikt go nigdy nie ugryzł), szczypał (taka szczypawka, oświadczyła internautka) albo wżerał się jak jakiś kwas. Bo każdego boli inaczej.

– Ojej, ale nie ruszaj ręką!

Spojrzał wreszcie na tę rękę, jakby wzrokiem mógł ją z powrotem najlepiej unieruchomić.

– Ojej.

– Podoba się?

Esy-floresy opłatały mu przedramię od dłoni po łokieć, a taki podniecająco skręcony nie poczuł się nawet dotknięty nową bezosobowością, która od jakiegoś czasu zgrzytała mu w uszach: podoba s i ę ? Zadowolony? Kto? Komu? Lecz nic już go nie pomniejszy: czyż nie przyszedł tu właśnie po osobowość? Tak, podobało m u się, jasne, b y ł zadowolony. I zdumiony, coraz bardziej zdumiony. Ojej!

– No to powoli kończymy. – Uznała westchnienie za „s i ę podoba”.

Kończymy? Dopiero zaczynamy, żyć zaczynamy!

Ojej. Naprawdę przyszedł tu z własnej woli? Postanowił znaleźć salon, wejść, wydukać, o co mu chodzi, przed jakimś od stóp do głów kibolem w recepcji, który najspokojniej w świecie, a nawet z uśmiechem, skierował go do poczekalni? Naprawdę usiadł wśród tych dziwnych dziewczyn, trzech Amy Winehouse w rysunkowe pejzaże jak trzy ściany pełne graffiti, niezwracających na niego uwagi w podrygach do rytmów z własnych słuchawek lub z palców wystukujących esemesy w błyskawicznym tempie, w jakim teraz próbuje się istnieć?

Ojej! I naprawdę nie wstał i nie uciekł, gdy nie wiadomo skąd pojawili się nad nim dwaj mięśniacy, całkiem jak z pornosów, i to w chwili, gdy doznał czegoś na kształt ulgi, że czeka z samymi dziewczynami, kobiet bał się tylko w łóżku, a tu nagle oni, lepsi niż z pornosów, bo przez ekran nie czuć, a tu nagle oni i ich drobinki potu podłączające powietrze do prądu, na ramieniu smok, na innym wilk wyjący do księżycy, usłyszał to wycie z samego swego środka, licząc już płytki na podłodze, nie podnosząc wzroku, skazaniec na komisariacie, co z własnej woli przyszedł się przyznać... Ojej, przecież przyszedł się przyznać do życia, do chęci życia! Więc podniósł oczy, a raczej podnosił i podnosił,

niezauważony przez smoka, zlekceważony przez wilka, no po prostu niewidoczna drobinka potu lśniąca od perfekcyjnie wycieniowanego księżycy. Czy zawyłby w głos, gdyby nagle nie został wywołany i zabrany tu, gdzie tkwi już chyba trzecią godzinę? Nie, wtedy jeszcze nie.

Który z was to Irek, spytała po prostu i nie zdziwiła się, gdy wstał, mały, chuderławny wujek, pewnie w wieku jej ojca, w wieku ojca ich wszystkich, a najgorsze, że goły, taki goły, bez jednego wzorku na sobie czuł się tutaj jak bez majtek, całkiem jakby oni urodzili się już tacy wzorzyści, jakby żaden początek, czysta tablica przed lekcją, nigdy nie istniał. Który z was to Irek Szczęściarz, powinna była spytać, lecz nie mogła wiedzieć, jakie to szczęście, że była dziewczyną, w końcu kobiet bał się tylko w łóżku, jakie to szczęście, że nie wywołał go ktoś jak ten kibol w recepcji lub ci ze smokiem albo z wilkiem, facet od stóp do głów. Nie, już by nie uciekł, zabrął za daleko, ale poszedłby za takim jak skazaniec na komisariacie, może nawet zapominając na chwilę, że przecież nie przyszedł przyznać się do zbrodni, a do chęci ży...

– Tu jeszcze wydziarałabym kreskę, bo całość się chwieje. Zobacz!

Się chwieje? Przecież się podoba, bardzo! Ręka była piękna, nie jego, mógłby ją całować, lizać jak pies, wbić zęby, aż swędzące, by zatopić się w rozkoszy. Raz przyłożył do tej ręki wargi. Znaczący nie do tej, ta była j e g o , choć trudno mu było uwierzyć. Do podobnej przyłożył, tylko oczywiście szerszej, masywniejszej, każda była masywniejsza, i w inne, jeszcze bardziej kunsztowne wzory.

Mandala, przypomniał sobie wtedy i teraz sobie przypomniał, że westchnął w okrągłe, podkolorowane broszki pełne ornamentów, w rozgwieżdżone z rafy koralowej, lśniącej, a jakże, od pożądanego potu, i szepnął: mandala!

Nie żeby znał się na filozofii Wschodu, coś podobnego było na okładce książki „Mandala życia”, którą kiedyś przez kilka godzin jazdy pociągiem czytała pani naprzeciwno. Podczas tamtej podróży tylko raz spojrzała na niego i niespytana sucho wyjaśniła: tak właśnie jest, proszę pana, wszystko łączy się ze wszystkim, zmieniając chaos w harmonię! Więc: mandala, szepnął wtedy z wargami w cudzej skórze, lecz właściciel ręki nie usłyszał, uwijając się nad nim i posapując, a potem, jak to z reguły w takich okolicznościach, nie było już żadnej rozmowy, tamten zrobił swoje i poszedł, zabierając rękę, rozkosz, umówione sto pięćdziesiąt złotych, a może tylko sto, wszystko, co łączy się ze wszystkim.

– No? Dajemy tę kreskę? – Jej palec nad pustym, bladym poletkiem pod łokciem poruszał się jak samochodowa wycieraczka.

– Tak. – Usłyszał nie swój ćwierk, nie tenorek. Niższy, gardłowy głos zaskoczył go, więc jeszcze dwa razy powtórzył: – Tak. Tak.

Podobał mu się ten nowy, pewny swego ton i znów odwrócił głowę. Przecież już wiedział, nowy głos należał do nowej ręki, ba, pochodził z niej. Że nowa ręka należy do niego, tego jeszcze do wiadomości ostatecznie nie przyjął. Ale zdąży, przecież będzie ją miał, taką nową, już zawsze! Na razie chciał jeszcze raz się usłyszeć, więc nagle się rozgadał.

– A ta skrzynka tu? Ta metalowa, z mojej prawej strony – dodał, choć innej nie było, jakby nie wiedziała, że nie jest drewniana i z której strony, ale tak bardzo chciał się dłużej posłuchać. – Do czego służy ta tajemnicza skrzynka? – Ta-jem-ni-cza wypowiadało się i wypowiadało, śmiało i dobitnie wybrzmiewała każda z czterech sylab.

– Laser do usuwania tatuaży.

Kamień przytknął mu krtań, jakby ów nowy głos miał się już nigdy zeń nie wydobyć.

Tego się nie spodziewał. Nie naklejał sobie kalkomanii do zerwania nazajutrz, nie przyszedł na malowanie henną utrzymujące się dwa, góra trzy tygodnie, jeśli rzadko się myjesz, nie interesował go tatuaż tymczasowy, znikający po roku, jakby nic się nie stało. Miało się coś stać, miało się coś wreszcie stać na zawsze, po wsze czasy, na wieki wieków, amen! Ten tatuaż miał istnieć do końca jego życia, a potem w ziemi, choćby cała reszta zgniła, gdyby nie zdążył zastrzec, że chce być spalony, a jeśliby jednak dokonano kremacji, wzór na skórze miał się nie spopielić, miał unieść się w powietrze i trwać jak każda ostateczna konsekwencja nieodwracalnej decyzji, może w postaci jakiejś chmury wijącej się w esy-floresy? Nie, nie, chmura nie jest wieczna, kulą w płot, w każdym razie w postaci wiecznej kuli w wieczny płot.

– To można go usunąć? Tak, by nie został żaden ślad? – Głos nie brzmiał już tak zasadniczo, chrypa nie była tak głęboka, najważniejsze słowo: ślad, chwiała się w intonacji, obawiał się, że gdyby coś jeszcze powiedział, dośpiewałby znenawidzonym tenorkiem.

– Można – padło wśród bzyczenia czarodziejskiej maszynki, którą dorysowywała ostatnią kreskę.

– Tak, by nie został żaden ślad? – Musiał się upewnić, choć brzmiał już niepokojąco wysoko.

Ustało bzyczenie, więc niemal automatycznie się do niej odwrócił, spojrzała na niego jak na małego, chuderławego wujka, kogoś bez znaczenia, kogoś, kto więcej ma za niż przed, i kogoś, komu można bez żadnych konsekwencji wyznać prawdę, jeśli to nie to samo. Bo przecież nie chodziło o żadną komitwę.